

Brudne słowa na ławie oskarżonych

23 sierpnia 2013

Stało się to, gdy przysięgli zebrani w londyńskim Old Bailey uniewinnili książkę. Werdykt wydany w jednym z najważniejszych procesów XX wieku otworzył drzwi dla rewolucji obyczajowej, która miała odmienić brytyjskie społeczeństwo.

„To wtedy na Wyspach zagościła seksualna tolerancja i literacka wolność” – piszą dziś komentatorzy.

Zanim na ławę oskarżonych trafiła książka D.H. Lawrence’a, na Wyspach niepodzielnie panował wiktoriański duch, który nie tylko dzielił ludzi na lepszych i gorszych, zależnie od tego, w jakiej klasie społecznej przyszło im się urodzić, ale też zabraniał wszystkiego wszystkim. A w każdym razie wszystkiego, co wiązałoby się z seksem. Nawet jeżeli była to jedynie lektura.

KRAJOBRAZ PRZED BITWĄ

Jeszcze w 1959 r. wydawcy książek, w których pojawiały się nieprzyzwoite stwierdzenia, musieli się liczyć z więzieniem. W latach 1950. za kraty trafiło trzech z nich. Oprócz tego sprawnie działała sądowa cenzura, która nakazywała publikacje niszczyć lub usuwać z nich „szerzące zepsucie” strony. Odbывało się to na podstawie Obscenity Publication Act, który obowiązywał od... 1857 r.

Wszystko poddawano tzw. testowi Hicklina, który także pamiętał czasy rządów królowej Wiktorii i po raz pierwszy został wykorzystany w sądzie w 1867 r. Zgodnie z jego zasadami oskarżeniu i cenzurze podlegało wszystko, co mogło mieć „tendencję do deprawacji oraz demoralizacji tych, którzy są podatni na takie niemoralne wpływy i w których ręce taka publikacja może trafić”.

Jeżeli tylko były tam opisy seksu lub nawiązania do niego, a nawet sugestie dotyczące czegoś uznawanego za nieprzyzwoite, to sąd powinien nakazać zniszczenie takiej książki. Szczególnie upodobano sobie nieprzyzwoite, „czteroliterowe” słowa, o publikacji których w ogóle nie było mowy. Do zakazu rozpowszechniania wystarczyło, by w tekście pojawiło się... jedno. Nie miał znaczenia charakter książki i to, w jakim celu pojawiały się w niej „obsceniczne” treści. Za obronę nie mogło służyć także przeznaczenie dla dorosłych, ponieważ fraza mówiąca o „tych, w których ręce może wpaść”, była w praktyce odczytywana w sposób, który nakazywał, by wszystko, co wydawano w Wielkiej Brytanii, mogło być czytane przez czternastoletnie dziewczynki i nie narażać ich na ryzyko deprawacji.

Taka interpretacja powodowała, że Brytyjczycy – przynajmniej ci, których nie było stać na wycieczki do Francji po anglojęzyczne „dzieła zakazane” – byli odcięci od wielu ważnych pozycji światowej literatury. Tak było m.in. z „Ulyssessem” Jamesa Joyce’a, „Lolitą” Władimira Nabokowa i „Zwrotnikiem Raka” Henry’ego Millera.

Pod koniec lat 1920. sędzia nakazał np. zniszczyć całe wydanie „The Well of Loneliness” Radclyffe’a Halla. Przeraziło go to, że w horrorze znalazło się zdanie sugerujące, iż dwie bohaterki spędziły razem noc.

Jakie? „Tej nocy nie były rozdzielone” – napisał Hall, co miało – zdaniem orzekającego – „bronić nienaturalnych praktyk pomiędzy kobietami”.

Ciekawostką, którą przypominał Geoffrey Robertson na łamach „Guardiana”, było to, że do ataku na literaturę zaangażowano literatów. I to nie byle jakich, bo wśród ludzi, po których sięgnęło oskarżenie, był m.in. Rudyard Kipling. Autor „Księgi dżungli” „miał w razie potrzeby przekonywać sędziego, by „utrzymać Imperium w czystości””. W świecie, w którym nie wolno było wydać „The Well of Loneliness”, nie miał szans

ukazać się także „Kochanek Lady Chatterley”.

KOCHANEK ZAKAZANY...

Książka D.H. Lawrence’a ciekawa jest już choćby przez to, że funkcjonuje w trzech różnych wersjach, ponieważ autor poprawiał i zmieniał ją już po napisaniu, a wszystkie wersje zostały wydane. Jest ciekawa także dlatego, że zawierała treści podwójnie wywrotowe. Szczególnie w pierwszej wersji, którą chyba najczęściej przekładano na polski, krytykowała brytyjską arystokrację i wprost nawiązywała do idei socjalistycznych.

Jednocześnie głośno mówiła o tym, o czym się wtedy nie mówiło, czyli o seksie. W kolejnych wersjach, a więc i w ostatecznej, akcenty zostały przesunięte na to drugie i skandal wywołało nie pisanie o wojnie klas, ale barwne i plastyczne opisy tego, co Lady Chatterley robiła w łóżku z niejakim Mellorsem (który w wielu polskich wersjach pozostał gajowym Pinkerem), z którym zdradzała niepełnosprawnego męża arystokratę.

Lawrence pisał o tym na przykład tak:

„– Powtórz to – prowokował ją. – Powiedz to jeszcze raz. Dlaczego nie masz mnie... – Dlaczego nie masz mnie, jak to nazywasz, rznąć, jeśli wiesz, że tego pragnę? I ty przecież tego pragniesz?

– Nie wstydzę się tego, co mam między nogami. Mówił o swoim penisie. Pomyślała o nagim mężczyźnie, jego czystej żądzy i tajemnicy jego ciała. Tajemnicy penisa! I wiedziała, jak wie każda kobieta, że penis jest kolumną krwi, żywą fontanną życia.

– O cóż... tak jakoś... wiesz, że jebać to ja lubię najbardziej... ty o tym wiesz... a i ja.

– Symbolem triumfu żywej krwi jest fallus, a penis pełną krwi krynicą życia. Tajemnicy fallusa świat zawdzięcza całe swe

piękno, ono zaś znaczy więcej niż wiedza, która często jest złudna, a nawet gdy wydaje się niezachwiana, jej moc po jakimś czasie zamiera.”

Było to nie do zniesienia dla ówczesnych cenzorów. Dlatego książka ukazała się w 1928 r. we Włoszech i znali ją ci, którzy jednocześnie nie przejmowali się obyczajowymi zakazami i było ich stać na to, by sobie ją stamtąd sprowadzić. W Anglii wydano ją wprawdzie 4 lata później, ale w wersji ocenzurowanej, która była daleka od języka i treści oryginału.

Dla samego Lawrence’a nie było to nic nowego. Wcześniej zdarzało się, że policja zajmowała i paliła całe nakłady jego książek. „Odwiedzała” także wernisaże, gdzie rekwirovano obrazy (był też malarzem), jeżeli tylko uznano, że są sprzeczne z nakazami ówczesnej moralności.

...I OSKARŻONY

W 1959 r. zmieniło się prawo dotyczące „obscenicznych publikacji”. Co do zasad miało pozostać takie samo, ale ustawodawca – niekoniecznie świadomie – stworzył pewną furtkę. Otóż po pierwsze treści obsceniczne mogły być uzasadnione, gdy całe dzieło uznano za wartościowe, a po drugie wprowadzono zasadę oceny książek według tego, czy „nadawały się” dla grup, do których były skierowane. Oznaczało to tyle, że zrezygnowano z 14-latek jako punktu odniesienia.

Rok po wejściu w życie nowego prawa postanowił z niego skorzystać Penguin i wydał nieocenzurowanego „Kochanka Lady Chatterley”. Wydawca liczył na proces, bo miał nadzieję, że go wygra i otworzy drogę dla kolejnych książek, których dotąd nie było wolno publikować. Dlatego wysłano do szefostwa prokuratury 12 świeżo wydrukowanych egzemplarzy.

Piastujący wtedy funkcję prokuratora generalnego Reginald Manningham-Buller potrzebował przeczytać zaledwie cztery rozdziały, by wydać polecenie wszczęcia postępowania.

„Najważniejszym czynnikiem w decyzji o tym, by książkę oskarżyć, była zaoferowana przez Penguina niska cena. To powodowało, że była dostępna dla kobiet z klasy pracującej. Tego, ujawniają to dokumenty prokuratury, przynależący do klasy wyższej-średniej prawnicy i politycy mężczyźni nie mogli znieść” – pisał Robertson na łamach „Guardiana” w artykule poświęconym procesowi „Kochanka Lady Chatterley”.

Miała to zresztą być bułka z masłem. Sędziowie byli konserwatywni. Liczono też na konserwatywną ławę, w której wówczas jeszcze zasiadać mogli jedynie ludzie zaliczający się do bardzo konkretnych społecznych kategorii. Robertson zwracał uwagę, że „jury składały się z posiadaczy, na ogół mężczyzn, w średnim wieku, z klasy średniej i o przeciętnych poglądach”. Oskarżenie powinno sobie bardzo łatwo poradzić z przekonaniem ich do swoich, konserwatywnych racji.

Tym bardziej że – jak wyliczał prokurator Marvyn Griffith-Jones na wstępie sześciodniowego procesu – „Słowo „jebać” lub „jebanie” pojawia się nie mniej niż 30 razy... „pizda” 14 razy; „jaja” 13 razy, „gówno” i „dupa” po sześć razy; „kutas” cztery razy itd.”

Czyli, zgodnie ze starą ustawą, pewna wygrana.

NIE DLA SŁUŻĄCYCH I ŻON?

Jednak od 1857 r., gdy ją uchwalano, wiele się na Wyspach zmieniło. O czym wiedzieli adwokaci Penguina, którzy należeli do śmietanki tego zawodu. Wiedząc, że sędzia stanie po stronie Korony, zwracali się bezpośrednio do przysięgłych. I zdecydowali się dowieść literackiej wartości dzieła, co wystarczało, by uzasadnić jego publikację.

Zgromadzili dziesiątki ekspertów gotowych potwierdzić, że powieść D.H. Lawrence’a, który zmarł 30 lat wcześniej, to literatura najwyższych lotów, a przedstawione w niej sceny intymnych zbliżeń podnoszą artystyczny poziom całości. Z poparciem występowali zatem literaturoznawcy z Oksfordu, ale

też wybitni pisarze, tacy jak T.S. Eliot i Aldous Huxley. Podkreślano – słusznie – że autor ma prawo do takich środków wyrazów, jakie uzna za potrzebne.

To mogłoby jednak nie wystarczyć, gdyby prokurator nie uważał, że wszyscy postrzegają świat w dokładnie taki sam sposób jak on. Korzystając z argumentów, które przemawiały do niego, ale na początku lat 60. były już dla wielu odstręczające (a w jury zasiadały też trzy kobiety), ułatwił zadanie obronie.

„Zaakceptowalibyście to, żeby młodzi chłopcy, młode dziewczęta – bo dziewczęta mogą czytać tak dobrze jak chłopcy – czytali tę książkę? Czy to jest książka, którą trzymalibyście we własnym domu? Czy chcielibyście, by przeczytała ją wasza żona lub wasi służący?” – powiedział w czasie procesu i nawet nie zauważył, że z tym, co mówi, jest coś nie w porządku. Zwolennicy cenzury myśleli wszak tak samo. A tylko z nimi zadawał się podstarzały zwolennik umocnienia społecznych podziałów. Wykorzystał to adwokat Penguina Gerald Gardiner, późniejszy minister w laburzystowskim rządzie, który na zakończenie procesu mówił: „Nie chcę martwić oskarżenia sugerowaniem, że jest dziś wiele osób, które nie mają służących.” I pytał: „Czy nie każdy, nieważne, czy zarabiający 10 czy 20 funtów tygodniowo, jest równie zainteresowany problemami społeczeństwa, w którym żyje, problemami ludzkiej natury dotyczącymi relacji seksualnych? W kontekście odwołań do żon, czy kobiety nie są jednakowo zainteresowane ludzkimi relacjami, włączając w to relacje seksualne?”

Na te pytania przysięgli zdecydowali się odpowiedzieć „tak” i uniewinnili „Kochanka Lady Chatterley”, który mógł wrócić do sprzedaży. Zrobili to, mimo że jeszcze przed samym udaniem się na obrady sędzia poinstruował ich, by myśleli o obrazie kobiety niemoralnej, który przedstawia Lawrence, i wadze małżeństwa dla chrześcijańskiego kraju, w którym żyją.

POCZĄTEK REWOLUCJI OBYCZAJOWEJ

On także nie zauważał, jak zmienia się kraj, w którym żyje, ponieważ publika wyczekiwała dostępu do lekko pornograficznego romansu. Gdy „Kochanek Lady Chatterley” trafił wreszcie do księgarń, zaczęło się prawdziwe szaleństwo.

„Księgarnie w całej Anglii wyprzedały cały pierwszy nakład kontrowersyjnej powieści, w sumie ponad 200 tys. egzemplarzy, już w pierwszym dniu” – donosiło BBC. I raportowało: „W&G Foyle sprzedał 300 kopii w 15 minut i zamówił kolejne 3 tys.; Hatchard na Picadilly wyprzedał się w 40 minut; w Selfridges & Co 250 egzemplarzy zniknęło w ciągu minut.”

W sumie brytyjską sprzedaż „Kochanka Lady Chatterley” liczono w milionach i nie brak takich, którzy podkreślają, że w XX wieku sprzedawał się lepiej niż „Biblia”. Nie to było jednak w tym najważniejsze. Wygrany proces tej powieści był pierwszym kamieniem, który uruchomił lawinę zmian. O wiktoriańskiej moralności zapomniano szybko. Niedługo potem zdekryminalizowano homoseksualizm i zmieniono restrykcyjne prawo ograniczające dostęp do rozwodów. Zliberalizowano też prawo aborcyjne i zniesiono cenzurę. A w ciągu kolejnych 50 lat Wielka Brytania zmieniła się nie do poznania, bo kto dziś – a było to tak niedawno – byłby sobie w stanie wyobrazić taki proces?

Autor: Tomasz Borejza

Źródło: [eLondyn](#)